



Hanna Łukowska Karniej

część III z III

Sygnatura notacji: **N0277**

Data urodzenia: **07.08.1941 r.**

Data nagrania: **27.06 2023 r.**

Miejsce nagrania: **IPN, Wrocław, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 62 min, część II: 63 min, część III: 48 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Hanna Łukowska-Karniej: Ludzie, u których mieszkałam, przekonałam się, że im mniej ludzi wie, tym bezpieczniej. I najlepiej, jak obsługują ten dom tylko i wyłącznie ci, którzy tam mieszkają. I właśnie to mieszkanie u Władzi Konstantynowicz na Wielkiej to było mieszkanie dość blisko mojego domu. Tak że nawet dziewczyna, która mnie podwoziła pod dom, znaczy podwoziła wieczorem, nie wiedziała, że ja nie wracam do domu, podwoziła pod przedszkole, nazywałyśmy to przedszkole „mleczarnia”, ponieważ zawsze tam mleko do przedszkola odstawiali, jak myśmy się zjawiały, to wyobrażacie sobie, która to była godzina. To była godzina albo trzecia, albo czwarta czasem nad ranem, bo nasza działalność miała różne oblicza. Pod koniec np. spotykałyśmy się w jednym mieszkaniu tej mojej Alicji Kopeć i omawiałyśmy sprawy z Basią, z moim ostatnim kierowcą w tym dniu, jedynym zresztą, który kończył ze mną dzień, z Janem Pawłowskim, szefem, omawialiśmy różne sprawy w tym domu na Biskupinie, a potem wracałam na Krzyki. I ona mnie podwoziła pod tak zwaną tę mleczarnię i mówiła: „Ale będziesz miała daleko do domu”. Ja mówię: „Nie szkodzi, dotrę”, itd. A oczywiście tam w pobliżu mieszkał Kornel. A ja nie wracałam do domu, tylko szłam do Kornela, bo przecież gdzieś o 4 rano będę jechała po jakichś, muszę mu oddać przede wszystkim korespondencję, a po drugie dostać odpowiedź. Już nie pamiętam, na którym etapie, kiedy się ukrywałam, kiedy się nie ukrywałam, a nawet ta, co mnie woziła, nie wiedziała, czy ja mieszkam, kiedy ja mieszkam w domu, a kiedy ja nie mieszkam w domu. Więc to były takie wybiegi, że nawet najbliżsi nie wiedzieli, dokąd się udaję. Zdarzył się też taki wypadek, bardzo ciekawy, że wiedząc już, że jestem po tych wyrokach i muszę znowu działać, postanowiłam, że ludzie będą do mnie przynosić listy, ale będzie je odbierała ode mnie koleżanka w pracy, która pracowała w Gmachu Głównym. Nomen omen, ona się nazywała Anna, ja nazywałam się Hania, ona pracowała w Bibliotece Głównej, ja w bibliotece Politechniki. Ją potem przekazałam panu Zarachowi, który był w Komitecie Wykonawczym, bo władza w Solidarności Walczą-

cej to była najpierw rada, 12 osób w sumie, ale na ogół zawsze 8–9, i potem Komitet Wykonawczy, w którym się zmieniał skład aż do końca. Rada to byli ci przyjaciele, a Komitet Wykonawczy to już byli dobrani ludzie. Tak że tak wygląda nasza struktura w tej Solidarności. Do Ali Iwaniuk, tak zwana Anna, Zarach spotykał się też w mieszkaniu blisko Politechniki. Ja im oddałam też mieszkanie tak zwanej Ulki, bo też już mi się tam nie podobało, z którego korzystaliśmy. Ale powiedziałam, że tylko możecie się tam spotykać, bo nie wiadomo, czy mieszkanie jest czyste. I okazuje się, że w materiałach archiwalnych jest nagranie z tego mieszkania, jak oni rozmawiają. I Służba Bezpieczeństwa pisze, że to rozmawiam ja. Bo Hania, Ania, biblioteka, tam coś pada, już nie pamiętam. Ja słucham tej notatki, która jest wydana w materiałach Solidarności Walczącej. I oni podają, że to jest mieszkanie Hani, oni mi mówili per Hania nawet na tych walkie-talkie, jak ze sobą rozmawiali. „Hania jeszcze nie wyszła składać kwiatów”. Albo: „Uważajcie, Hania lubi brykać”. Albo Hania tam, bo udawało mi się uciec z obstawy. Ale to były takie przykłady, że mi się raz udało, to drugi raz. Oczywiście trzeci raz.

Artur Kłus: Właśnie jest też tak, że Solidarność Walcząca miała bardzo dobry kontrwywiad, wywiad.

Hanna Łukowska-Karniej: To rozpracowanie, i to z tym Janem Pawłowskim, co żeśmy na początku razem rozkręcali, oczywiście on potem miał jeszcze ludzi, którzy z nim razem zaczynali, ale początkowo to żeśmy brnęli przez puszcę, nic nie rozumieliśmy, co oni mówią, bo to cyfry padają, jakaś karetka, jacyś pacjenci, jakieś 48, jakieś 3, 9, 5, połówki.

Artur Kłus: Podśluchiwaliście SB?

Hanna Łukowska-Karniej: SB, tak. Połówka, ćwiartka, o co chodzi? Ale potem, jak już ja byłam śledzona i on słuchał, a ja mówiłam, co się dzieje ze mną, to rozgryzaliśmy już dosyć dobrze. Ćwiartka to dziecko, połówka to dziewczyna z chłopakiem, pacjenci to ci śledzeni, karetka to samochód jedzie, żelazny to dworzec, gumowy to autobus, jak się wychodzi. Np. przy nasłuchu siedząc, bo ja później, jak się ukrywałam w zasadzie, to siedziałam przy nasłuchu. Bo co bym robiła? Oczywiście chodziłam, łączyłam te porwane nitki albo jeździłam z tą moją przyjaciółką, we dwie już potem jeździłyśmy nawet, to było przed wpadką, jak we dwie, a później to ja już jej polecenia wydawałam. I pan Zarach przejął, Andrzej Zarach przejął, jak myśmy wpadli z Kornelem, to on przejął już ten Komitet Wykonawczy i on w zasadzie działał już ze swoimi ludźmi, Myślecki działał ze swoimi ludźmi, bo w Solidarności Walczącej było tak: masz dobry pomysł, to go realizuj, a dobrze by było Kornel, to ja, a to rób to, i tak w ten sposób powstało, że np. ja miałam układy w Szczecinie, to mimo że Zbyszek Bełz, który był w Radzie Solidarności Walczącej i zamierzał swoich prawników zmobilizować znajomych i założyć oddział w Szczecinie podziemny. Jemu to nie wyszło, a mnie wyszło ze Szczecinem, ponieważ włączyłam w to moją przyjaciółkę, która czytała „Biuletyn Dolnośląski”, która miała dojście do jezuitów, gdzie Czuma był, gdzie ksiądz jej polecił naszego szefa, pana, oj, Boże, zapomniałam jego nazwisko, pan Stefan, którego ksiądz polecił jako człowieka bardzo zaufanego i który został szefem Solidarności, a potem doszedł do niego Janusz Korczak. Każdy robił to, na którym polu coś umiał zrobić. Zbigniew Oziewicz, fizyk, jeździł na konferencje, rozmawiał tam politycznie i werbował ludzi, bo to jest świetny człowiek. I tak mieliśmy strukturę w Katowicach. Tak mieliśmy strukturę w Toruniu. Tak się zdarzyło, że w Legnicy był Myc, to Myc z Legnicy rozwijał, w Lubinie. W każdym razie struktury się rozwijały, jak on później sam mówił, pączkowały nam, ale każdy z nas na-

wiązywał te kontakty. Rada Solidarności Walczącej robiła to, co każdy mógł na swoim polu.

Artur Kłus: Jak pani się udawało tych kierowców, około 30 osób...

Hanna Łukowska-Karniej: Kierowców no to też... Kiedy spotykałam się z moimi kolegami, oni mówili: „Hania, co potrzeba?”. Ja mówię: „Potrzeba mi samochodów i mieszkań”. „Aha”. Najpłodniejsi z mieszkaniami, adresami mieszkań i samochodami to była Freda Poznańska, pracownik naukowy Akademii Sztuk Pięknych, to znaczy wtedy Szkoły Wyższej Plastycznej. I też całą rodzinę wciągnęła. I Andrzej Myc. Zawsze pomyśleli, nic nie mówili, ale za 2 dni miałam do dyspozycji jakiś samochód, jakiś kontakt. Kiedyś, pamiętam, Freda przysłała i powiedziała: „Wiesz co, takie dobre mieszkanie naprzeciwko Makarewicza”. Ja mówię: „Koniec kropka, żadnego, jak naprzeciwko Makarewicza, tego nie wolno mówić”. „Czemu?” Ja mówię: „No bo to już jest adres, daj spokój”. Tak żeśmy rozmawiały z moimi koleżankami i kolegami. Ale to mieszkanie okazało się, że nie jest tak naprzeciwko, że są jeszcze 2 bloki przy Makarewiczu. I to było właśnie to mieszkanie na Wielkiej, które zaowocowało tym, że Kornel z niego szedł się ujawniać u pani Władysławy Konstantynowicz, najważniejsze mieszkanie Kornela, gdzie pani na wstępie zapytana, na jak długo, powiedziała: „Na ile trzeba”, a takich adresów było niewiele, ludzie jednak byli zmęczeni.

Artur Kłus: A z kierowcami jak było?

Hanna Łukowska-Karniej: – A kierowcy to tak, różni to byli kierowcy. Właśnie z Akademii Sztuk Pięknych miałam pana, Żeleźniewicz się chyba nazywał, chyba witrażysta, ja nie wiedziałam, jak oni się nazywają, Gwiazdeczka, nie pamiętam do dzisiaj, jak ma na nazwisko, bo dostałam go na gwiazdkę, dlatego był Gwiazdeczką. To byli ludzie, którzy wiedzieli, że pomagają podziemiu, ale komu, nie mieli pojęcia. Właśnie Żeleźniewicz powiedział mi, o, nie pamiętam, on nazywał się Czwartek, bo się w czwartek z nim spotykałam, w różnych miejscach ustalałam, gdzie się spotkam. I on mówi: „O, już wiem, kogo wożę”. „Skąd pan wie?” „List gończy widziałem”. No i wtedy wszystko ze mnie zeszło. I mówię: „No i co, będziemy jeździć?”. „Będziemy”. O, taka była rozmowa z nim. A ten właśnie z Warszawy, co to zauważyłam, że mamy ogon i co na mnie mówił Mała Czarna, to też bardzo ciekawa opowieść, uważał, że przez niego wpadłam, jemu się tak wydawało. Ponieważ pokazali mu zdjęcia, gdzie nas już sfotografowali wcześniej, jak jechaliśmy gdzieś tam w kierunku Hubskiej na Tarnogaj. Ale okazuje się, że ktoś tam był inny obserwowany. Ale w każdym razie on pokazywał, że ja idę w prawo, a ja szłam w lewo. Ale co z tego, że ja szłam w lewo, jak ja potem obchodziłam i szłam w prawo. Im się tam coś nałożyło, więc tak to wyglądało. I on po moim wyjściu z więzienia, pierwszym moim wyjściu, wyszedł, przyszedł do mnie do domu, bo dowiedział się, gdzie mieszkam. To chyba było już, nie wiem, jak on się tam dowiedział, ale w każdym razie mnie przeprosić, że on – przepraszam, on przyszedł jeszcze przed moją wpadką, że jego przesłuchiwali, co on powiedział. I ja potem wszystkim kierowcom opowiadałam, że przesłuchiwany przyszedł, odnalazł mój adres poprzez tych ludzi, którzy mi go dali, i ostrzegł mnie, o co oni pytają. Ja byłam niezmiernie wdzięczna, naprawdę niezmiernie wdzięczna, bo już wiedziałam, co oni wiedzą i o kogo pytają. To był ten pan, ja nazywałam go Dziura w Głowie, ale on też z kolei miał ciekawe towarzystwo. Trudno powiedzieć, jak to wszystko, te nici się rozwijały, bo np. on mi dał ludzi gdzieś trochę z marginesu, gdzieś na jakichś działkach. Ja tam pojechałam na te działki, bo jeden z kolegów drukarzy ukrywał się. On się tam u nich ukrywał. Już nie pamiętam, czy on tam drukował, bo drukował u tych moich przyjaciół. I teraz co? Ja przychodzę tam kiedyś, przyjeżdżam, żeby

go odwiedzić, a oni mi mówią, że on się chce ujawniać i oni go tu nie puszcza. A ja mówię: „No ale przecież on nie powie, gdzie siedzi”. „Mała Czarna, ciebie i jego spuścimy tutaj do tego dołu”. Oni mówią, że się z nami rozprawią. Ja sobie myślę: „Matko Boska, wyrok mnie czeka”. Ale ja nie wiem, właściwie teraz, jak to wspominam, wtedy tych podpiętych ludzi nawet się tak za bardzo nie bałam. Oni byli tacy szczerzy w tym, co oni myślą, bo ten pan z dziurą w głowie miał jakiś wyrok po wojnie. On mówił, że on siedział i że mu powiedzieli, że odwieszą ten wyrok. Potem się dowiedziałam, że nic tam odwiesić mu nie mogli, ale go straszili, ale on mnie jednak ostrzegł. Teraz jesteśmy w tych działkach, na tym pustkowiu, stawiają nam jakąś wódeczkę. Ja wiem, że mam mocną głowę, nie jestem pijąca, ale wypłam z nimi. Myślę: „Boże, co ja mam zrobić, żeby jego uratować, tego Bogdana”. Ja mówię: „Wiedziecie co? Ja go wezmę do innego domu, przyjadę po niego i on z innego domu się ujawni, nie bójcie się”. „Chyba że tak”. I tak zawsze. „Mała Czarna, jak ciebie tam będą przypiekać, to zobaczysz, co będzie”. I tak byłam Mała Czarna, ale udało mi się z nim porozmawiać i zabrałam go. I on właśnie od tych Nowakowskich się ujawniał, a to już był człowiek, profesor Politechniki, który z Kornelem dzielił jeden pokój. I on sobie zdawał sprawę, co to podziemie znaczy. I który też bardzo dużo nam pomógł, bardzo dużo do końca nam pomagał, mimo że później nie podzielał poglądów Kornela.

Artur Kłus: Jakie nazwisko?

Hanna Łukowska-Karniej: Nowakowski. Pomyślałam w więzieniu, że tu siedzę i mam jakąś klaustrofobię, bo mam klaustrofobię. Dałam sobie radę jakoś z tym. Wszystko można pokonać. Może nie wszystko, ale trochę.

Artur Kłus: Możemy zacząć tę historię z aresztu?

Hanna Łukowska-Karniej: Coraz mniej było ludzi do pracy i w zasadzie tak trochę ta pętla się zaciskała. 1987 rok, nasze aresztowanie. W tym dniu akurat Kornel miał spotkanie. To było spotkanie u pracownika opery, pana Hautza. Nie wiem, kto był na tym spotkaniu, bo ja w zasadzie tylko go wprowadziłam i stałam pod tym domem. Bo uważałam, że lepiej, żeby ci ludzie mnie nie widzieli. I po spotkaniu, na które Kornel przyszedł, przyprowadzony przez moją łączniczkę, ja z nim nie przeszłam, bo ja się po prostu bałam, opłótkami szłam, że już mnie służba zna, że Kornel nie powinien nigdzie się ze mną pokazywać. Wychodząc z tego mieszkania, ja czekałam na niego pod domem i patrzyłam, jak wchodził do mieszkania, przyprowadzony przez Alicję Kopeć z domu z ulicy Wielkiej, nigdy ten dom nie wpadł i nigdy to mieszkanie nie wpadło. Kolesi mówią mi, że przygotował do druku książkę, Bartoszewskiego chyba, Bartoszewskiego była pierwszy raz przygotowana, ale może tu też było Bartoszewskiego. Nie, bo „Warto być uczciwym”, wydawało mi się, tak, to chyba była ta książka, bo myśmy dwie książki przygotowywali. Każdy się przygotował do druku i mówi: „Pójdziemy do tych dziewczyn, które drukują w drukarni tej państwowej”. A ja mówię: „Ale słuchaj, tam nie bardzo mi się podoba”. One drukowały wprawdzie nakład naszego projektu, jak to się nazywało, „Program Solidarności Walczącej”, który przygotowaliśmy na 1979 rok na przyjazd papieża. Zresztą papież dostał ten program do swojego pokoju poprzez takiego lwowiaka, pana, na Jasnej Górze. Dostał nasz program i dostał znaczki z Matką Boską. Zostały przekazane papieżowi. Te panie drukowały ten program i wynosiły go same, bo była związana z ich drukarnią taka wpadka, jak to ja nazywałam, bez głów i nóg. Ja nie miałam wielkiego zaufania, wprawdzie już nikt tam nie odbierał, one same wynosiły, ale też jak mi opowiadały, to dużo rzeczy mi się tam nie podobało, ale to takie moje było mówienie sobie. Kornel mówi: „Pół roku minęło, nic się nie dzieje. Mieszkanie jest na pewno czyste”. A ja

mówię: „Kornel, ale przecież ten nasłuch, który mówi, że gdzieś spod hotelu Wrocław ktoś jest śledzony, to mogą być one”. „Ale chłopcy ci powiedzieli, że przecież tam Nowicki mieszka profesor i to pewnie jego śledzą”. To był przyjaciel Wojtka Myśleckiego. Ja tak dałam się trochę wyciszyć, ale ile razy tam poszłam po te nakłady, to coś tak jakoś dziwnie się czułam. Tu Kornel mówi: „Pójdziemy”. Ja mówię: „Ja tam nie pójdę”. „Czemu nie pójdziesz?” „Bo ja się boję”. „To ja sam pójdę”. „Nie, sam nie pójdziesz, to ja z tobą pójdę”. Powinnam była powiedzieć, że ja pójdę. Ale poszłam z Kornelem z tego mieszkania, nie pamiętam, z ulicy takiej bocznej, Inżynierskiej na ulicę Zielińskiego. Szliśmy trochę, po drodze jakaś taksówka jechała, podjechaliśmy tą taksówką, bo było dosyć późno, to chyba była 9 godzina czy 10, 9.30, kawałek podjechaliśmy. Weszliśmy do tego mieszkania, oczywiście nigdy nie na to samo piętro, zawsze albo wyżej, albo poniżej itd., weszliśmy do tego mieszkania. Boże, te dziewczyny, jak zobaczyły, one nie wiedziały, że to Kornel, one chciały złożyć przysięgę. Matka z córką tam mieszkała, jedna córka, a druga, która razem, siostry drukowały w tej drukarni, mieszkała gdzieś na Nowym Dworze. I tamta jak zobaczyła, że tu szef sam do niej przyszedł, ja już nie pamiętam, myśmy mówili pewnie na podsłuch, bo tam się nie zdążyła zagotować herbata, jak oni weszli prawie z drzwiami, bo chcieli wyłamywać drzwi. One były po prostu obserwowane. Rzeczywiście ten nasłuch, który był i od czasu do czasu się odbywał, to dotyczył tych kobiet, a nie żadnego profesora Nowickiego ani tam innych ludzi, o których mi mówiono. Tak że miałam dobre przeczucie. Kornel zawsze mówił: „Ach, wpadłem przez Hanke”. Ja mówię: „Jak ty tak możesz mówić?”. „Bo powinna mi zabronić”. Ale ja nie zabroniłam, niestety. Jakoś wydawało mi się, że on jest pod tym względem mądrzejszy ode mnie. Nie zdążyła się zagotować właściwie herbata. Ona tylko zadzwoniła do siostry. „Wskaż w trampki, mama chora”. Matka była chora na serce, zresztą dostała tam jakiegoś zawału, w każdym razie przyjechała karetka. Tę Elę, która mieszkała, zabrali, a tamta nie dotarła. Już zobaczyła, jak nas wyprowadzają, przynajmniej mnie. Najpierw, bo mnie szybciej wyprowadzono. Walenie w drzwi, poczta, telegram. „O tej porze nie przejmujemy telegramu”. Cisza, „milicja, otwierać”. Nie pamiętam, które to było piętro, bo nie pamiętam tego adresu. Szóste, siódme, ósme, chyba jakoś tak. Nikt nie wyskoczył. Kornel zaczął ubierać buty. Mówi: „Niech pani wpuszcza”. Oni mówią: „Wyważamy drzwi”. I ona wpuściła, oczywiście na ziemię mnie i Kornela, kajdanki. Kornel mówi: „Rozumiem, że mnie, ale panią?”, to potem mnie rozkuli. Pełno ludzi, poprzyjeżdżali jacyś tam, legitymują mnie, „Jak się pani nazywa?”. A ja mówię: „Przecież mnie znacie”. „Ale jak się pani nazywa?” „Mnie znacie”. Tak się z nimi tam droczyłam. „A pan?” Kornel nic nie odpowiada na pytania. Kornel nie powiedział. „Kornel Morawiecki?” „Odmawiam odpowiedzi”. Nie pamiętam, chyba miał przy sobie jakiś dowód i dał ten dowód, który miał taki trochę podrobiony, Kornel miał taki podrobiony dowód. Chociaż pierwsze dokumenty dał mu taki Włodek Wnuk, zaraz po stanie wojennym. Cały zestaw swoich dokumentów, łącznie z prawem jazdy, gdzie powiedział: „Może ci się przyda”, przyniósł mi, bo tak ludzie nam przynosili różne dowody. Mnie zabrali na Podwale zaraz, a Kornela ponoć dość długo jeszcze tam trzymali i też go zabrali. Oczywiście rewizja osobista, do naga, rano jeszcze przesłuchanie. Rano po śniadaniu zawieźli mnie na sygnale karetką do Warszawy, na Puławską, jak się potem dowiedziałam, też takie Podwale nasze wrocławskie, do aresztu. Zauważyłam już, że Kornel tam jest. A skąd zauważyłam? Bo zobaczyłam na wieszaku jego wierzchnie ubranie. To już wiedziałam, że jest. Moje pierwsze pytanie, jak z Kornelem rozmawiałam przez telefon: „Jak oni cię wieźli? Jak mnie rano zawieźli, to co, wieczorem cię zawieźli?”. A on mówi: „Nie, mnie helikopterem”. Helikopterem go przewieźli do Warszawy, mnie na sygnale do Warszawy. Z przodu samochód, z tyłu samochód, w środku dwóch ubeków, z przodu kierowca i ubeczka. Tak dojechałam do Warszawy. Jeden dzień byłam na tej Puławskiej, potem już w więzieniu. Przesłuchania, byłam do Bożego Narodzenia tam, a wpadliśmy 9 listopada. A potem, tuż przed Bożym Narodzeniem, przywieźli mnie do Wrocławia. Tam byłam przesłuchiwana przez jakieś

kobiety, które w ogóle nie wiedziały, o co pytają, nie znały nazwisk, przekręcały. Nie poprawiałam ich, słuchałam, chcieli mnie tam jakoś złamać, mówili, że pani przywódca duchowy ogłasza światu swoją doktrynę, a pani tu nie chce z nami gadać, bo ja odmawiam odpowiedzi, odmawiam odpowiedzi, no i wreszcie mnie, „A będzie pani siedzieć tam 15 lat”. „Pewnie mi dacie dożywocie”. Taka rozmowa. Później przyjechał ubek z Wrocławia, pan Boba, który mnie przesłuchiwał. Znajomy ubek to prawie że wrocławianin, więc spytałam, czy to degradacja, że on tu przyjeżdża czy wyróżnienie, on sobie żartował, przy okazji rozmowa, ja wiedziałam, że on nagrywa, bo ja w ogóle rozmawiałam, tylko nie odpowiadałam na pytania, mówiłam to, co chciałam, opowiadałam o Syberii, tam czasem coś, zapytałam go, co słychać we Wrocławiu, on mi powiedział, że dzieci pani, tak jak dzieci Labudowie, rozrzucają ulotki, a ja mówię: „A to dobrze je wychowałam”, taka rozmowa. I potem mówię: „Dlaczego zabijacie ludzi, którzy mnie znają?”. „Jak to zabijamy?” Wtedy opowiedziałam mu historię związaną z... Nie wiedziałam, czy wie, ale myślę sobie, nawet jak nie wie, to dobrze, by się dowiedział, kryminalistę, którego na mnie napuścili w 1984 roku i który potem powiesił się. A wiem, że bał się strasznie śmierci. A trochę się zadurzył we mnie i chciał mi pomagać. I po pijaku dzwonił do mnie i mówił: „Jak cokolwiek ci zrobią, to ja ich pozabijam”. Pewnie oni przyczynili się do tego, że on się powiesił, ten człowiek.

Artur Kłus: On miał pani grozić jakoś na początku?

Hanna Łukowska-Karniej: Nie, on miał mnie chyba śledzić, a chciał mi pomagać. I Kornel chciał, żebym go wykorzystywała, ale wtedy nie posłuchałam Kornela, powiedziałam mu, on miał takie, nie wiem, które imię jego prawdziwe było, a które miał jako pseudonim, Andrzej, Zbyszek, nie wiem, przyszedł kryminalista do mnie z kwiatami w moje urodziny, a tam w więzieniu wszyscy znali Hanię z listu gończego, wszyscy kryminaliści mieli moje zdjęcia wytapetowane ponoć, ładne zdjęcie, to sobie wytapetowali. Tak to wyglądało ponoć, tak mi mówili. Taka rozmowa była z panem ze Służby Bezpieczeństwa. Wydawało mi się, że nie wiedział tego, bo to było coś innego. Potem przez jednego prawnika chciałam się dowiedzieć, co z tym człowiekiem się stało, bo sprawdzałam, czy rzeczywiście nie żyje, czy tylko go gdzieś wywieźli. Sprawdziłam, teraz nie pamiętam kwatery, rzeczywiście nie żył, miałam dojsie do pani z Urzędu Rejestracji Urodzin i Zgonów. W każdym razie dowiedziałam się o tym nazwisku, teraz nie pamiętam nazwiska. W każdym razie ja z więzienia wyszłam w kwietniu, już we Wrocławiu. Po wyroku, który mi dali za posiadanie dowodu, którym się zresztą nie legitymowałam, natomiast wcześniej mi zarzucali działalność polityczną i powiedzieli mi, że my jesteśmy terrorystami. To ja tylko machnęłam ręką, ja nawet nie wiedziałam, co to są terroryści. Wtedy się nie mówiło o żadnych terrorystach. Że my jesteśmy organizacją terrorystyczną i że 15 lat. I mówię właśnie: „A wy mi chcecie dać może i dożywocie?”.

Artur Kłus: Jeszcze przed pani zwolnieniem był proces, też ciekawe wydarzenie w sądzie.

Hanna Łukowska-Karniej: Ale ten proces to był już we Wrocławiu, z panem Afendą.

Artur Kłus: To był dość duży tłum.

Hanna Łukowska-Karniej: – Dość duży tłum ludzi przyszedł na ten proces wyznaczony, ale nie odbył się w tym dniu, bo za dużo było ludzi. Zmarzłam w tym samochodzie, siedziałam tam, nie wiedziałam, patrzyłam. To było tutaj przy Preflicza, blisko mojego domu, bo wszyscy wiedzieli, kiedy będzie ten proces. Więc zawrócili mnie i dopiero za

2 dni albo następnego dnia mnie przywieźli i szłam tak szpalerem Służb Bezpieczeństwa, bo wszyscy mieli właśnie te adidasy. Szłam na górę, Afenda, znany zresztą wtedy adwokat, zrobił taką awanturę, że on się ze mną nie porozumiał, że nie wiedział, „A proszę teraz na bok przejść i sobie porozmawiamy”. Więc rozmawialiśmy, tam pisząc, i dali mi wyrok, nie wiem, ile tam miesięcy więzienia, nie pamiętam, za to. I wtedy to było najgorsze, co w więzieniu przeżyłam. To strój więzienny, bo nas nigdy w stroje więzienne nie pakowali, tylko w swoich rzeczach byliśmy, na strój więzienny i na dół jako ta niebezpieczna z trzema. Jedna stara bardzo kobita, druga za jakiś handel wódką i jeszcze jedna jakaś nieprzytomna, taka Buraczyńska, prostytutka czy coś, potem się okazało. Chora psychicznie moim zdaniem dziewczyna. To z nimi siedziałam i do końca. Jak wypuszczał mnie z więzienia pan Kaucz, przyszedł, mnie przeproszał, że siedzę w tym więzieniu. To było w kwietniu 1988 roku, który powiedział mi, że mu bardzo przykro, że moi koledzy wyjdą też niedługo. Niestety taka sytuacja była, ale jemu przykro. Jak się siedziało, to taka rozmowa była głupiego z mądrym. Ja mu mówię, że po co zamykacie wariatów. „Jakich wariatów?” Powiedziałam o tej pani Buraczyńskiej, że ją trzeba leczyć, a nie trzymać. No i przeproszał, że on mi wycinał moje piękne znaczki, bo była taka akcja wysyłania do mnie kartek, więc dostawałam przepiękne kartki. Jak weszłam do więzienia w 1987 roku i powiedziałam, że jestem z Solidarności, to wszyscy: „A Solidarności już nie ma”. Takie pierwsze zdanie, które usłyszałam i we Wrocławiu, i w Warszawie. A potem, jak zaczęłam dostawać te kartki, dużo tych kartek, to już miałam wielkie uznanie u tych kobiet. One już mi tam podpowiadały pod drzwiami, które wracały z pracy itd., i mówiły: „Dostałaś dużo kartek, ale smutni panowie oglądają”. Tak mi mówiły, więc ja do pana mówię, właśnie Kaucza, że nie tylko pan czytał, mówię: „Ja rozumiem, że pan musiał czytać, nie tylko pan, smutni panowie też”. „Skąd pani to wie?” To wtedy mówię mu, że „Więzień panu tego nie powie, ale wiem, że czytali moje listy”. Po wyjściu z więzienia oczywiście dowiedziałam się, że Kornela razem z Andrzejem, że tak powiem, chcą wyrzucić za granicę. Za granicę, nie wiem, to już w Kornela jest opisane dokładnie, jak oni tam do nich podeszli, że Andrzej jest chory, to Kornel powiedział, że musi mu to powiedzieć, potem, że on zostanie, on wyjedzie. Namawiali ich, wreszcie zabrali ich na samolot. Tam dowiedzieli się, że rodzina siedzi i mówi, że tu są strajki, więc Kornel mówi: „Wracamy do więzienia”. Wreszcie wmieszały się służby kościelne. Orszulik przekonywał, że jak oni nie wyjadą, to przecież pan może wrócić w każdej chwili, bo nie ma pan biletu w jedną stronę, tylko w dwie strony. Naradzili się z Andrzejem, że wyjadą, a Kornel wróci za 3 dni. Ale nie dało się wrócić za 3 dni, bo Kornelowi nie sprzedali na samolot polski. Dzwonił do mnie, właśnie do mnie dzwonił. Ja wtedy mu przekazywałam, jakie tu nastroje są i kto co mówi, bo wiedziałam, że i tak na podłuchu ludzie przychodzą do mnie w domu, mówią. Pewne rzeczy mi się tam przydały, które mówiłam, jak tu koledzy odbierają jego pobyt tam, oczywiście jedni przeklinali, mówili, że się dał zwieść, drudzy, że dobrze zrobił, Zarach uważał: „Niech siedzi jak najdłużej za granicą, niech zbiera pieniądze”. Ale Kornel wrócił po 3 dniach, poprzez Lufthansę i przez Frankfurt. I myśmy czekali na niego na dworcu lotniczym. Niestety samolot przyleciał, jego nie było. Bo w Krakowie czekaliśmy, potem miał przylecieć, tak mnie zawiadomił, powiadomiłam naszą grupę, a potem, że z Frankfurtu. Powiedział, że rozmawiał z Olszewskim. Olszewski powiedział: „Ale niech się pan szykuje do więzienia, bo pan pójdzie do więzienia”. A on mówi: „No to proszę”. Jan Olszewski, bo był jego adwokatem, „To niech pan szykuje widzenie”. Ale czekając na lotnisku, pozamykali te wszystkie widokowe miejsca, te balkony i Kornel nie wyszedł do nas. Byliśmy wtedy z obecnym premierem, a jego synem wtedy jeszcze, bo on jest rocznik mojej córki, mówimy, że nam nic nie powiedzą, idź ty i dowiedz się, czy był na liście. Dowiedzieliśmy się, że był na liście tych, którzy przyjechali. Jakaś kobieta opowiedziała nam tylko: „O, jakiegoś człowieka wzięli od razu z naszego lotu do jakiegoś samochodu”. To potem już wiemy z nagrań ubeckich, że go przetrzymali 2 godziny i w rezultacie pod-

bili pieczętkę w jedną stronę i wywieźli ich do Wiednia. I Kornel, będąc na zachodzie, też dzwonił do mnie, tam spotkał się z moją siostrą cioteczną, tą właśnie, która mnie tak wychowywała. Oboje byli sobą zauroczeni i jemu się bardzo spodobała ta moja siostra, ta garbuska, ta źle słyszająca, ale o niezwyklej, że tak powiem, fenomenalnej duszy i wielkim umyśle. Jej się spodobał Kornel, który z nią rozmawiał i który w Chicago ją odwiedził. A poza tym spotykał się z różnymi wielkimi tego świata, Brzeziński, przedstawicielem Polonii, dużo różnych ciekawych. Nawet CIA komórka z nim się spotykała. To wszystko potem się dowiedziałam, jak przyjechał. W każdym razie powiedział mi Kornel przez telefon, że do mnie się ktoś zgłosi od niego. Taką informację dowiedziałam się i na tym pozostałam. I tu jest Kongres Polonii, Kongres Kultury. Jesteśmy w Krakowie, oczywiście burza mózgów. Wszyscy mówią: „Ten Kornel dał się wywieźć”. A ja mówię, taka już byłam zła na te krytyki różne: „Skąd wy wiecie? Może w tej chwili już jest w Polsce? Przecież Kornel powiedział, że wróci”. Strzeliłam, po prostu strzeliłam. Nie wiedziałam, chociaż tego dnia jeden z adwokatów Kornela podszedł do mnie i powiedział, że jego syn chce się ze mną spotkać, tylko nie tutaj, tylko na dworze. Wyszłam na dwór i ten pan mi mówi, że rozmawiał z Kornelem na zachodzie i że mam szykować mieszkanie mu w Krakowie, bo oni go tutaj przerzucą. Czy ja mam takie mieszkanie? Ja, jak wiecie, panowie, musiałam szybko myśleć w podziemiu. Ja mówię: „Dobrze, proszę”. Zanim coś wymyślę, dam im adres państwa Muszyńskich, którzy do mnie pisali do więzienia. Zastanowię się potem, ale strzelę, dobra, mówię mu. Proszę sobie wyobrazić, że rzeczywiście on przygotowywał to przerzut, to nie była żadna podpucha. Ale tej samej nocy, kiedy myśmy wracali z Krakowa, Kornel przekraczał granicę ze swoim przyjacielem, którego spotkał przez przypadek w Wiedniu. Szukał tam przez panią Ziębę różnych kontaktów, a okazuje się, że do niej przyjechał Przystawa, który jechał z Włoch. Jego przyjaciel z uniwersytetu i z Przystawą przyjechał do jego sąsiadki, ta sąsiadka, nie wiedząc o tym, że u tej sąsiadki Kornel się ukrywał. Mimo że Przystawa obok mieszkał. Przystawa nie wiedział o tym. Więc tak działaliśmy, że sąsiad nie wiedział, mimo że mieliśmy zaufanie, że mieszkał u sąsiadki. I rano wróciłam taka zmęczona. I rano o 5 czy 6, już nie pamiętam, telefon do drzwi. Zosia moja mnie trzyma za ręce i mówi: „Mama”, pokazuje mi. Służba Bezpieczeństwa pewnie, myślę, Kornel na zachodzie, co oni mnie aresztują? Patrzę przez wizjer, patrzę, Janka Wiśniowska. A on tu do tej sąsiadki przyjechał, u której się zresztą ukrywał przez jakiś czas, z listem od Kornela. „Przyjechałem, jestem u Janki, proszę cię, przyjedź, mam zadania”. No i mam zadania. Pokazałam to mojej córce młodszej i już nie będę opowiadała, jak wyszliśmy do kościoła, potem poszłam na śniadanie do koleżanki, potem przy pomocy przyjaciół, którzy mieli 2 samochody, zostawiłam tam dzieci, powiedziałam im, że jeden samochód ma wyjechać, a drugi miał mnie odebrać i pojechałam na te Pilczyce. Więc widzi pan, ile zachodu, żeby nie jednym samochodem, tylko dwoma, bo akurat ci mieli 2 samochody. Oni mało robili, ale polecenia na moją prośbę wykonywali. Jeżeli ja uważałam, niektórzy myśleli może, że jestem stuknięta. No i okazało się, że muszę koniecznie dziś nadać informację do Toronto, że Kornel się nie pojawi na spotkaniu po południu, bo w tym czasie właśnie uciekał od służb, które go tam osaczały, i przez te 48 godzin dojechał do Polski. Bo chciał dojechać przed spotkaniem wielkim, które miał mieć w Toronto. Ja musiałam to nadać do właśnie siostry pani Alfredy Poznańskiej. Pani Linowska zadzwoniła do kuzyna Bełza do Toronto i tam zostało to przekazane. Teraz szukanie mieszkań dla Kornela. Mieszkań, których już było coraz mniej. Odgrzewam kotlety, idę na ulicę Pereca do takiej pani Ciejk, która mieszkała nad moją koleżanką, gdzie tu wcześniej była rewizja. I weszłam tam. Wydawało mi się, że jestem zupełnie czyściutka, jak nie wiedzieć co. Ale zatrzymałam się na wszelki wypadek na piętrze tej mojej koleżanki. Cisza, spokój, stoję, zwykłym sposobem, bo różne sposoby były sprawdzania. Nie można było górą przejść, weszłam do tej bramy, weszłam piętro wyżej czy 2 piętra, już nie pamiętam, chyba piętro wyżej, i stukam do tej pani. Nikt nie otwiera. I w tym momencie, kiedy ja tam stukam czy

dzwonię, już nie pamiętam, najpierw dzwonię, potem stukam, słyszę skrzypnięcie na dole drzwi. Bo to nie był wysoki blok. To mnie to zaniepokoiło, zeszłam znowuż piętro niżej. I jak zeszłam piętro niżej, stałam, nikt nie wszedł, to zaczęłam stukać do tej mojej koleżanki, która już dowiedziałam się, że nie żyje. Wtedy, kiedy ja siedziałam w więzieniu pierwszy raz, ona zmarła, ale tam stukam. Nikt mi nie otworzył, bo nie wiem, to mieszkanie, nie wiadomo, co tam było. Postukałam, postukałam, zeszłam na dół, poszłam. Proszę sobie wyobrazić, że w tym dniu cały blok był przeszukiwany. Wszystkich ściągnęli z domów, a tam, gdzie nie mogli otworzyć drzwi, to je wyważali. Więc tak Kornel był poszukiwany w 1988 roku. To, że on wtedy nie wpadł, ale za jego zgodą poszłam, żeby u pani Ciejki może zamieszkać. Takich historii trochę było i można by je było opowiadać w nieskończoność.

Artur Kłus: Jeszcze historia o tym, jak nosiła pani w torbie kolce.

Hanna Łukowska-Karniej: Proszę?

Artur Kłus: Kolce z torby.

Hanna Łukowska-Karniej: Aaa. Tak, tych przyjaciół, wielu nas, młodych chłopaków, było, np. 31 sierpnia, pamiętam, kolce, które miały służyć do przebicia opon tych wielkich samochodów zomowskich, one były przechowywane na ulicy Jaworowej u naszych przyjaciół, chyba u pana Błażewicza. Miał tam iść Czarek, student, po te kolce. Ja mówię: „Gdzie ty pójdziesz, dziecko? Ciebie z torbą to natychmiast zatrzymają. Jeszcze w dodatku tam jest posterunek z drugiej strony milicji. To ja wezmę i zaniosę, na jaki chcecie adres”. No i ja z tymi kolcami, na wierzchu miałam jakąś pościel, niby niosę od magla, uginałam się, bo te kolce ciężkie, na wierzchu jakaś tam pościel i szłam z tymi kolcami przez parę tam ulic, już nie pamiętam, dokąd ja tam je zaniiosłam, ale takie sytuacje miały miejsce, że z kolcami spacerowałam w dniu, gdzie legitymowano na pewno młodych ludzi. Mnie jakoś nie legitymowali.

Artur Kłus: 1988 rok to już są rozmowy części opozycji z komunistami, Kornel się ukrywa, a w tym czasie też pani jest aresztowana ponownie, tak?

Hanna Łukowska-Karniej: Nie.

Artur Kłus: W 1988 roku już nie dochodzi do aresztowania?

Hanna Łukowska-Karniej: Nie, nie jestem aresztowana, natomiast jestem śledzona. Taka ciekawa historyjka się wiąże, tuż przed ujawnieniem Kornela, to byłaby kiepska sprawa, młodzieżówka się zjawia, młodzi ludzie się z Kornelem spotykają, przyjeżdża do mnie wtedy nikomu nieznana Anita Gargas, Wojciechowski, że niby Romaszewska poleca, chcą spotkać się z Kornelem, ja na nich patrzę, mówię: „Ja nie wiem, gdzie jest Kornel”. Odwożę ich do Wojtka Myśleckiego czy daję im adres, bo to Wojtek jest jawnym przedstawicielem. Ale ponieważ mi się spodobali, tak popatrzyłam na nich, to przyjechałam po nich i zabrałam ich do Kornela. I takie miał spotkania Kornel czasem niezaplanowane, bo mi się ktoś spodobał albo miał coś ciekawego do powiedzenia. Kornel nieraz mówił: „A czy to dobrze się spotkałem?”. A ja mówię: „No ale popatrz, jacy fajni ludzie”, a w dodatku wydawało mi się czasem,

że trzeba też niektórym trochę zastrzyku takiego, jak się spotkają z Kornelą, to chętnie pracują. To tak było od czasu do czasu. Nie zawsze Kornel w ogóle wiedział, z kim go spotykam, a parę razy odwołałam kilka spotkań, bo właśnie uważałam, że coś mi się nie podoba.

Artur Kłus: To pani też decydowała?

Hanna Łukowska-Karniej: Właśnie decydowałam, ale to już miałam taki placet od Kornela, bo on uważał, że ja siedząc przy tym nasłuchu, już więcej wiem od niego. A w dodatku byłam goniona przez nich ze Szczecina do Wrocławia. Wysiadałam z pociągu, bo już mnie złościli, bo co chwilę otwierali drzwi, więc postanowiłam wysiść, a wtedy oni mieli kłopot, bo musieli w Zielonej Górze mnie śledzić. I właśnie do tej koleżanki doprowadziłam, niestety, gdzie był pan Jan Kolny, który okazało się potem, że rzeczywiście był agentem od rewizjonizmu niemieckiego. Tak wyczytałam, bo ja sprawdziłam później, jakim on był agentem. Już oboje nie żyją, ani ta koleżanka, która mnie przestrzegła przed swoim mężem, ani on. Ale tak czasem właśnie robiłam, myślę sobie: „A dobrze, jak wy tak, to ja tak”. W Szczecinie nie mogłam wyjść z domu, na czterech rogach mnie obstawiali. Do kościoła za mną szli, z kościoła za mną szli, więc w pewnym momencie, jak przyjechaliśmy na święta z moim mężem do Szczecina z dziećmi, to stali na schodach i patrzyli na nas, czy dzieci się nie zamieniły, nie wiem, czy w Kornela, czy coś. Tak że oni takie dziwne ruchy czasem wykonywali. Po śmierci Popiełuszki trochę żeśmy się bali. Bo rzeczywiście, jadąc za samochodem, jak myśmy zatrzymywali się w lesie, to oni za nami wjeżdżali dokładnie w to miejsce. To mój mąż był zdenerwowany, mówił: „W co ty się wpakowałaś, co ty wyprawiasz?”. Ja zawsze byłam w dobrych układach z moim mężem, pomagał, a najważniejsze, że nawet Kornela przechowywał przez jakiś czas.

Artur Kłus: Dzieci na pewno też...

Hanna Łukowska-Karniej: Mojego syna chcieli wciągnąć w taką pułapkę po moim ujawnieniu, znaczy po moim wypuszczeniu z więzienia była taka prowokacja związana z moim synem. Jechali na wybrzeże z kolegami i tam mieli jakiś zatarg z milicją, bo za głośno grali, puszczali płyty. I okazało się, że mój syn, milicjant mi powiedział, że mój syn nic nie zrobił, tylko za zakłócenie spokoju ich przymknęli, natomiast kolega drugi był zamieszany w to, ale nigdy do tej sprawy go nie przyprowadzono i gdzieś zaginął. Tak że ja, kiedy mój mąż chciał bardzo wyjechać za granicę, to ja powiedziałam: „Zabierz syna, bo on jako syn opozycjonistki zginie w więzieniu”. Ale niestety zginął w wypadku samochodowym w Toronto, mając 34 lata.

Artur Kłus: To może na zakończenie pokażemy dzieci ze zdjęć z tych archiwalnych. Pani by opowiedziała w jednym zdaniu, pokazała do kamery swoje dzieci.

Hanna Łukowska-Karniej: No właśnie. Tu jest moja Zosia, ale nie wiem, patrzę, który to jest, czy to jest rok... Moja Zosia, która miała 14 lat, jak wybuchł stan wojenny. Tu młodsza córeczka, ale tutaj to jest jej starsze zdjęcie, miała wtedy 5 lat. A tu jest syn, który miał wtedy 13 niecałe. Tak, to te dzieci moje bardzo mi pomagały. Jak wyszłam z więzienia, obie córki były w Szwajcarii zaproszone przez panią, o Boże, przez panią doktor, zapomniałam jej nazwiska, cudowna pani doktor, która zaprosiła dwie córki. Bała się zaprosić syna, bo mówiła, że jak jej mogą ukraść dzieci

Solidarności. I to jest właśnie to zdjęcie. One są w Szwajcarii, a ja wychodzę z więzienia, kiedy one są w Szwajcarii.

Artur Kłus: To jest 1988 rok?

Hanna Łukowska-Karniej: Tak, tak. Tutaj nawet pani obwoziła, obdarowała, dzieci zobaczyły piękny świat i po powrocie powiedziały: „Mamo, ale tu szaro, buro, a tam kolorowo. Mamy w lodówce wszystko, owoce, woda, w sypialni”. Były zachwycone, miały piękne wakacje.